

Niewolnictwo w stylu „modern”

31 lipca 2018

Polska ma długą historię niewolnictwa. Okazuje się, że mamy także niewolniczą współczesność. Dzisiejsi niewolnicy nie są tak wielką częścią populacji jak chłopci pańszczyźniani, rekrutują się spośród imigrantów, żyją w sferze społecznej niewidoczności. Nie oznacza to jednak, że system, których ich eksploatuje jest mniej nieludzki i barbarzyński niż galicyjski folwark z pierwszej połowy XIX w.

Mogli się o tym przekonać widzowie spektaklu „Modern Slavery” przygotowanego przez zespół Biennale Warszawa w reżyserii Bartka Frąckowiaka, który w maju pokazano w siedzibie warszawskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Przedstawienie nie wstrząsnęło polską opinią publiczną, podobnie jak wstrząsu nie wywołały materiały na których opiera się jego dramaturgia. Jesienią ub. r. w mediach (Duży Format Gazety Wyborczej, TVN) pojawiły się reportaże ujawniające proceder korzystania z niewolniczej siły roboczej w warszawskich restauracjach z wyższej półki. Dramatyczna skala zjawiska – ok. 60 lokali, w tym tak znane jak Aioli czy Ale Gloria – pozwala mówić o całym systemie pozyskiwania i dostarczania niewolników na rynek gastronomiczny stolicy Polski. Zebrane materiały wskazują, że w interesie wykorzystywano wszystkie praktyki właściwe handlowi ludźmi – zadłużenie, przetrzymywanie w izolacji, szantaż, przemoc. Ofiarą systemu padali pracownicy z Ukrainy, najpierw łudzeni obietnicami stawek 8 zł za godzinę, a potem brutalnie zmuszani do pracy w wymiarze 350 godzin za 800 zł, które często i tak im potrącano pod różnymi pretekstami. Sprawą zajęła się wprawdzie prokuratura, a dwóch szefów warszawskiego gułagu aresztowano, ale sprawa nie wywołała szerszego oddźwięku. Nie było fali oburzenia, żadnych pikiet pod niewolniczymi lokalami, żadnego bojkotu, czy choćby ostracyzmu wobec ich właścicieli. Wygląda to trochę tak jakbyśmy nie mieli odpowiedniego języka pozwalającego mówić o

niewolnictwie, na którym opiera się funkcjonowanie miejsc tak chętnie odwiedzanych przez porządnych, liberalnych mieszczan stolicy. A przecież to zaledwie czubek góry lodowej.

Napływ setek tysięcy tanich pracowników z Ukrainy w ostatnich latach stworzył warunki dla ekspansji podobnych praktyk w Polsce. Według raportu australijskiej organizacji Freedom Foundation z 2016 r. niewolnictwo występuje dziś w 170 krajach na świecie, a Polska znalazła się w tym zestawieniu na bardzo wysokiej – 24 pozycji. W tej haniebnej konkurencji jesteśmy liderem w Unii Europejskiej, w skali kontynentu wyprzedza nas tylko Macedonia. W liczbach bezwzględnych, podawanych przez polskie organizacje, oznacza to, że na terytorium III RP mamy ok. 180 tys. osób zmuszanych do pracy niewolniczej. Przygniatająca większość z nich to migranci z Ukrainy, a także innych krajów byłego ZSRR.

Może to być nawet 2,3% ogółu siły roboczej w Polsce. Nowocześni niewolnicy pracują nie tylko w topowych restauracjach Warszawy i innych dużych miast. Można ich spotkać w usługach, sektorze budowlanym, przetwórstwie spożywczym, przemysłowym rolnictwie, handlu i różnych gałęziach rodzimego przemysłu. Wielka skala zjawiska i zmowa milczenia wokół niego sporo mówi o kulturze praw pracowniczych i w ogóle praw człowieka w naszym kraju. Mianowicie o ich braku.

Niemrawa i nieskuteczna Państwowa Inspekcja Pracy, prokuratura i media zajęte ciekawszymi tematami, NGO-sy dostrzegające problem, ale tylko wtedy, gdy dotyczy odległych krajów Globalnego Południa wskazanych przez donatorów, nawet związki zawodowe, które powołały specjalne komórki mające wspierać pracowników z Ukrainy nie mogą się poszczycić jakimiś sukcesami na tym froncie. Tej niemocy i ignorancji nie da się usprawiedliwić. Warto jednak szukać przyczyn, wpisując polskie niewolnictwo w szerszy kontekst. Tworzą go z pewnością trzy fakty. Po pierwsze problem dotyczy przede wszystkim migrantów/ek, co zgodnie z nacjonalistyczną ideologią

rządzącej prawicy czyni go sprawą „obcych”. Po drugie, mamy jedną z najwyższych w Europie stóp prekaryzacji wynoszącą niemal trzecią część ogółu zatrudnionych, a towarzyszy jej – i to po trzecie – wielka rzesza pracujących biedaków. Ta ostatnia grupa skupiająca osoby zatrudnione, ale zarabiające zbyt mało, żeby wyjść z ubóstwa szacowana była w 2016 r. na 13%. Wielu jej przedstawicieli, walcząc o przetrwanie, oscyluje na granicy pracy wolnej i przymusowej. Ich sytuacja bywa zawiniona przez państwo. Od lat 90. w krajach, a także Polsce, elementy przymusu i karania pracą wprowadziła polityka workfare zmuszająca bezrobotnych do wykonywania niskopłatnych prac nie pozwalających im wyjść z ubóstwa, ale stanowiących warunek przydzielania państwowego wsparcia socjalnego.

Wiele organizacji i ośrodków badawczych zajmujących się niewolnictwem na świecie wskazuje, na szerzenie się niestabilnych form zatrudnienia i pauperyzacji wśród pracujących jako na procesy odpowiedzialne za tworzenie warunków sprzyjających niewolnictwu, które dziś dotyczy ponad 40 mln osób. Nie jest przypadkiem, że zmuszanie do pracy najdramatyczniej widać w krajach odgrywających kluczową rolę w globalnych łańcuchach dostaw wielonarodowych korporacji. W tym kontekście warto pamiętać, że po 1989 r. główną przewagą komparatywną polskiej gospodarki na globalnych rynkach miała być tania siła robocza. Polityki kręcące się wokół tego założenia wytworzyły ogromne pole dla deptania praw i godności pracowników, którego nie usunęły transfery socjalne ostatnich lat. Dziś znajdują one ekstremalne rozwinięcie w rządowej ustawie przekształcającej całe terytorium kraju w specjalną strefę ekonomiczną. To właśnie ukształtowana dzięki takim praktykom kultura przyzwolenia na wyzysk skazuje 180 tys. osób w Polsce na osamotnienie w obliczu przemocy i zniewolenia.

Autorstwo: Przemysław Wielgosz

Źródło: Monde-Diplomatique.pl